

**CZYTASZ FRAGMENT TEKSTU KSIĄŻKI „TAJEMNICA
ORLEGO GNIAZDA” AUTORSTWA EMILII NOWAK.
KSIĄŻKA OBJĘTA JEST W CAŁOŚCI PRAWAMI AUTORSKIMI.
JAKIEKOLWIEK KOPIOWANIE, ROZPOWSZECHNIANIE,
SPRZEDAWANIE LUB INNE WYKORZYSTYWANIE BEZ ZGODY
AUTORKI JEST PRZESTĘPSTWEM I BĘDZIE POCIĄGNIĘTE DO
ODPOWIEDZIALNOŚCI KARNEJ I CYWILNEJ.**

ROZDZIAŁ 11

– Nie marudź, Marchewka – powiedział dwunastoletni Patryk do młodszego od siebie o dwa lata kolegi.

– Ja się boję, chcę do domu – odparł mały.

– Nie bądź cykor – odezwał się trzeci chłopiec. – Bo powiem chłopakom, że jesteś beksa.

Chłopiec, którego nazwano Marchewką, zamilkł na dłuższą chwilę, nadal jednak czuł, że nie powinien się być nigdy znaleźć w takim miejscu o takiej porze. Żałował, że dał się namówić na nocną wyprawę w poszukiwaniu duchów.

– Słyszycie? – spytał nagle jeden ze starszych chłopców.

– Co? Co słyszałeś? – zaniepokoił się Marchewka.

– To pewnie duch Białej Damy – odpowiedział drugi, mając przy tym niezły ubaw.

– Nie słucham was, jesteście okropni, po co ja się dałem namówić na tę głupią wyprawę.

– Sam jesteś głupi. I siedź cicho, bo zepsujesz całą zabawę! Już prawie jesteśmy na miejscu. Jak się nie uspokoisz, to już nigdy cię nigdzie nie zabierzemy – zagroził mu Patryk.

– I dobrze, nie chcę z wami już nigdzie chodzić. Chcę do domu!

W leśnej głuszy głosy dzieci odbijały się gdzieś między głazami i skałkami otaczającego je terenu. Nagle Marchewka wrzasnęła z całej siły, czując, że coś dotyka jego ramienia.

– Na pomoc!
– Cicho głuptasie, to tylko ja cię szturcham patykiem.
Chłopczyk nie wytrzymał napięcia i stanawszy na środku polany, zaczął płakać.
– Przestań beczeć, słyszysz? – próbował go uspokoić drugi ze starszych kolegów.
– Kiedy ja się boję, chcę do domu.
– Nie bój się, przecież my tak na żarty mówiliśmy o tych duchach.
– Naprawdę?
– Jasne. Duchów nie ma. Chcieliśmy tylko trochę cię nastraszyć. Ale widzisz, że z ciebie okropny mazgaj.
– Wcale nie jestem mazgaj. Wracajmy już – domagał się maluch.
– Zrobimy tylko jeden zwiad i wracamy, zgoda? – zaproponował Patryk.
– Co to znaczy „zwiad”?
– To znaczy, że tylko raz wejdziemy w ruiny i wychodzimy.
– Ja tu poczekam. Mama mówiła, że to niebezpieczne, bo jakaś skała może się osunąć na...
Zanim Marchewka dokończył, rozległo się wołanie: „To ja, Biała Dama, uwolnijcie mnie!”.
Cała trójka zamarła w bezruchu.
– To nie jest śmieszne, boję się, przestańcie! – krzyknął przerażony Marchewka.
– To nie my, przysięgam! – zawołał Patryk.
Wtedy znów usłyszeli złowieszcze wołanie: „Na pomoc, to ja, Biała Dama, niech mnie ktoś uwolni!”.
Chłopcy dostrzegli, że w ruinach krąży jakieś światełko, raz się pojawia, raz znika za murem. Gdy ponownie rozległo się wołanie Białej Damy, rzucili się do szaleńczej ucieczki.
– Szybko, spływamy stąd! – krzyknął któryś.
Malcy biegli co sił w nogach, uważając, żeby nie potknąć się o kamień. Serca waliły im z przerażenia, a Marchewka był tak sparaliżowany strachem, że starsi koledzy musieli go ciągnąć za rękę, bo inaczej nie byłby w stanie uciekać. Cały czas przy tym głośno beczał i łkał, ledwo łapiąc powietrze do płuc. Pędzili z otwartymi ustami, tak że co jakiś czas jakiś komar albo ćma wpadały im do gardeł, przez co nagle się dławili. Byli przerażeni, a w wyobraźni wciąż widzieli postać Białej Damy, która gna za nimi i za

moment ich dopadnie. Przebiegłszy jakieś dwieście metrów, znaleźli się w lesie. Trudniej tu było uciekać. Podłoże, zasłane wilgotnymi liśćmi, było śliskie; łatwo dało się na nim skrócić nogę. Tam przy ruinach przynajmniej księżyc i gwiazdy oświetlały ziemię. Tu w lesie było ciemno i strasznie. Biegli po omacku, wyciągając ręce przed siebie, chroniąc twarze od uderzeń wystających gałęzi. Nagle Patryk się potknął i pociągnął za sobą pozostałą dwójkę. Poturlali się po stromym wzgórzu jak snopki słomy, wydając przy tym potworne krzyki. Po dłuższej chwili opanowali sytuację i zdołali się zatrzymać. Wstali zdezorientowani, próbując rozpoznać, gdzie się znajdują. Marchewka cały czas płakał, a dwaj starsi chłopcy czuli, że ze strachu posikali się w majtki. To jednak nie była pora na takie zwierzenia, chcieli jak najszybciej dotrzeć do domu. Wkrótce dostrzegli w oddali asfaltową drogę, od której odbijało się księżycowe światło. Ucieszył ich ten widok. Gnali teraz przed siebie, każdy o własnych siłach. W końcu z trudem dobrnęli do owej ścieżki, niczym do ziemi obiecanej. Nie chcieli oglądać się za siebie ani tym bardziej zatrzymywać. Stąd znali już dokładnie drogę do domu. Żaden z nich słowa nie pisnął, tylko biegli przed siebie. Pierwszy dotarł do swojej posesji mały Marchewka. Zniknął na podwórku i tyle go widzieli. Dwójka starszych chłopców mieszkała kilka domów dalej. Gdy pojawili się przy bramie, głośno zaszczekał pies.

– Burek, cicho, to my! – nakazał Patryk.

– Ja wam dam, łobuzy jedne! – rozległ się krzyk mamy. – Gdzie wy się włóczycie po nocy?! Mogło wam się coś stać! Czekaście, niech ja tylko powiem ojcu. Do domu!

Chłopcy wcale nie protestowali, zdawali sobie sprawę z konsekwencji swojego zachowania, ale mimo to nie mogli się powstrzymać i zaczęli tłumaczyć matce, co widzieli.

– Mamo, przecież nic się nie stało – stwierdził jeden z chłopców.

– Nic się nie stało?! – krzyczała dalej matka. – To czemu posikaliście się w majtki?

Faktycznie tak było. Chłopcom zrobiło się głupio, zwłaszcza na myśl o tym, że jeszcze niedawno śmiali się z Marchewki, a sami okazali się tchórzami. Mimo to zaczęły chaotycznie opowiadać.

– Mamo, myśmy słyszeli Białą Damę!

– Tak, ona nas wołała przy ruinach!

- Co? Gdzie wyście byli? Ja wam pokażę! Na grochu będziecie klęzczyć jutro cały dzień i macie szlaban do końca wakacji!
- Ale mamo, tam naprawdę był duch, widzieliśmy światło w ruinach! Starania chłopców były daremne. Mama była zła, że zachowali się tak lekkomyślnie. Bracia spędzili bezsenność noc, tuląc się pod kołdrą w obawie, że przyjdzie po nich Biała Dama.

ROZDZIAŁ 12

– Wstawać, śpiochy! – wołała pani Anna z przedpokoju, pukając do drzwi każdego po kolei. – No chyba że to ja mam jechać szukać skarbu.

Klaudia przetarła oczy i zerknęła na zegarek. Wskazywał szóstą. Oznaczało to, że spała zaledwie trzy godziny.

– Ciociu, ja w nocy oka nie zmrużyłam. Nie masz litości.

– Muszę wyjść, więc was budzę, bo jak znam życie, to do dwunastej byście się nie pozbierali. A przypominam, że czeka na was w Bobolicach pan Doryniecki z jakąś ważną wiadomością.

– No już, już... – marudziła pod nosem Klaudia, szturchając Maćka w bok na znak, że pora wstawać.

Ciotka zniknęła, nie mówiąc, gdzie idzie. Cała trójka miała spory problem z koordynacją działań. Przepychali się między łazienką a kuchnią. W końcu, po wielkich i mozolnych przygotowaniach, o godzinie ósmej byli gotowi do wyjścia. Klaudia zostawiła ciotce karteczkę na stoliczku w przedpokoju i wyszli.

Dzień był uroczy. Powietrze po wczorajszym deszczu było rześkie, ale jednocześnie panowała przyjemna temperatura około dwudziestu stopni. Idąc w stronę samochodu, wesół trójka natknęła się na tę samą staruszkę, której wczoraj Klaudia i Maciek omal nie przewrócili, uciekając przed ulewą. Kiwnęli głową na powitanie, ale kobieta tylko coś do siebie pomamrotała i poszła dalej.

– Mamy wszystko? – zapytała Klaudia.

– Ja mam siebie – odpowiedział Bobek, próbując być zabawny.

– Zobaczmy... – Maciek zerknął do swojego plecaka. – Zabrałem aparat, telefon z GPS-em, mapę okolicy zamku, latarkę...

– Po co ci latarka? – zaciekawiał się Bobek.

– Może się przydać. Tam jest dużo jaskiń. Nigdy nie wiadomo, czy jakiś ślad nie zaprowadzi nas pod ziemię, do nietoperzy...

– Nietoperzy?! – oburzył się Bobek. – Ja nie schodzę do żadnych nietoperzy, wiecie, jak nie znoszę tych gadów.

– To nie są gady, tylko ssaki – powiedziała Klaudia. – Nie przesadzaj, cóż ci może zrobić taki nietoperz. Zresztą być może wcale nie będziemy musieli chodzić po jaskiniach. Wszystko mamy, ja zabrałam kanapki i wodę, więc możemy jechać.

Droga o dziwo zajęła im więcej czasu niż ostatnio, chociaż tym razem znali już trasę, a korków po drodze nie napotkali. U podnóża bobolickiego zamku zaparkowali kilka minut przed dziewiątą. Powoli zaczęli wysiadać z samochodu, pakując wszystkie potrzebne rzeczy. Bobek milczał, bo przez całą drogę towarzyszyła mu myśl o nietoperzach. Ledwo odeszli kilka metrów od samochodu, gdy zadzwonił telefon Klaudii.

– Tak, słucham?

Po kilku sekundach odezwała się ponownie:

– Dzień dobry panu. My właśnie dojechaliśmy do zamku... Gdzie? ... Rozumiem, już tam idziemy.

Bobek i Maciek patrzyli na Klaudię pytającym wzrokiem.

– Idziemy do hotelu – oświadczyła.

– Jakiego hotelu?

– No tam, tuż za restauracją – odpowiedziała, wskazując palcem wyznaczone miejsce spotkania.

Szli gęsiego, rozglądając się po okolicy. Zbliżywszy się do wskazanego miejsca spotkania, dostrzegli pana Klaudiusza, który szedł im na spotkanie.

– Jak się cieszę, że już jesteście – powiedział na przywitanie.

– Dzień dobry – odpowiedziała Klaudia. – Dzisiaj jesteśmy w silniejszym składzie. Przedstawiam panu naszego kolegę Roberta, pseudonim „Bobek”.

– Witam was – rzekł Doryniecki, podając po kolei wszystkim rękę. – Zapraszam na taras, tu sobie spokojnie porozmawiamy.

To powiedziawszy, pan Klaudiusz poprowadził ich do pięknego letniego ogródka za budynkiem hotelu. Młoda dziewczyna z obsługi hotelowej podała napoje.

– Skąd ten pośpiech? – zapytała w końcu Klaudia, przerywając ciszę. Pan Doryniecki zrobił zakłopotaną minę i rozejrzał się uważnie, jakby się obawiał, że ktoś ich podsłuchuje. Rozbawiło to trochę jego gości, lecz po chwili poznali powód takiego zachowania.

– Widzicie, kochani – zaczął pan Klaudiusz – mój brat, którego niestety dziś nie ma, otrzymał wczoraj list. Właściwie to ja ten list odebrałem, bo Karol był już w podróży służbowej. I właśnie o tym chciałem was pilnie powiadomić...

– Zamieniamy się w słuch.

– List został dostarczony wczoraj przed piętnastą, ale do moich rąk dotarł wieczorem. Zamierzałem jak zwykle przekazać całą korespondencję do biura mojego brata, ale jedna koperta zwróciła moją szczególną uwagę... Wszyscy troje słuchali uważnie słów pana Klaudiusza, a z ich min można było odczytać, że chyba domyślają się dalszego ciągu tej historii.

– List nie posiadał nadawcy, a koperta miała nietypowy format, tak jakby ktoś wykonał ją ręcznie.

– Otworzył pan ten list? – zapytał Maciek.

– Najpierw zadzwoniłem do brata, w końcu to jego korespondencja. Ale podzielił moje zainteresowanie, więc otworzyłem kopertę.

– Co było w środku?

Pan Klaudiusz wyciągnął z kieszeni marynarki kartkę papieru i podał ją Klaudii, która siedziała najbliżej.

– Sami zobaczcie.

Dziewczyna otworzyła usta ze zdziwienia, a raczej z niedowierzania.

– Co do licha...

– Pokaż, Klaudia, też chcemy zobaczyć. Co to jest? – domagał się Bobek.

– Słuchajcie, czytam...

Klaudia się wyprostowała, wzięła głęboki oddech i wyrecytowała treść listu:

...

KONIEC FRAGMENTU